Siedzieliśmy nad Wisłą i piliśmy piwo. Rozłożyliśmy się na schodach pomostu. Ciemno już było i oprócz mnie i trzech moich towarzyszy, została tylko grupa trzech innych chłopaczków. W przeciwieństwie do nas gadali dosyć cicho, więc nie zwracaliśmy szczególnej uwagi. My rozmawialiśmy o polityce bliskiego wschodu, petrodolarach, rzekomych atakach chemicznych w Syrii, SpaceX, Blue Orgin, planach podboju księżyca przez Chińską Republikę Ludową, mówiliśmy o opłacalności zrobienia progów za pięć i pół tysiąca w aucie za pięć tysięcy i o dupach. Zresztą o dupach gadaliśmy najmniej. Niebo było pochmurne i gwiazdy walczyły, aby zabłysnąć. Do tych cichych chłopaczków podeszło trzech facetów w garniturach. Przyczepili się i nie byli grzeczni. Za chwilę jeden z mężczyzn, blondyn, podszedł do nas i mówi tak:

– No co, chłopcy? Wypierdalać.

Stefo, największy z nas, miał alergię na podobne odzywki. Wstał pierwszy i pyta:

– Co wypierdalać?!

Za plecami faceta zobaczyłem jakieś szamotanie. Ktoś kogoś do schodów przyciskał. Tymczasem mężczyzna odchylił marynarkę i pokazał klamkę.

– CBA, wypierdalać.

Nie zdążyliśmy wciągnąć powietrza, gdy usłyszeliśmy warknięcie. Dłonie i przedramiona chłopaka w koszulce z Che Guevarą rozerwały się na pół. Nie krwawiły. Wewnątrz błyszczały rzędy zagiętych kolców albo zębów. Rzucił się na mężczyznę przyciskającego do ziemi jego kolegę, próbował pochwycić swoimi szczypcami. Nie zdążył. Jakaś siła szarpnęła chłopaka do góry i zawisł na wysokości dwóch metrów ponad brzegiem Wisły. Miotał się, lecz nie mógł dosięgnąć czegokolwiek. Ręce-szczypce klekotały. Trzeci z mężczyzn w garniturach miał dłonie uniesione w kierunku latającego, a jego palce poruszały się dziwacznie. Upuściłem butelkę. Brzdęknęło szkło.

– O kurwa! – wykrzyknął Stefo.

Blondyn odwrócił się w stronę rzeki, żeby popatrzeć na widowisko.

– No mówiłem, żeby wypierdalać? To teraz już za późno.

Stefo miał jak zwykle najszybsze odruchy. Nim mężczyzna powrócił do nas wzrokiem, dostał sierpowego w ucho. Upadł.

– Chodu! – krzyknąłem teraz ja.

Wbiegliśmy po schodach, a potem za drzewa, jak przerażone stado. Widziałem jeszcze kątem oka egze-

kucję. Wiszący w powietrzu właściciel koszulki z Che Guevarą zaczął zwijać się w konwulsjach, by za chwilę jego głowa wygięła się tak, jak nie powinna. Chrupnęło.

– Nieee! – zawołał trzeci z chłopaków, a jego ciało, jakby od gniewu, zagotowało się iskrami.

Więcej już nie widziałem. Uciekaliśmy. Nikomu bym nie uwierzył, gdyby opowiadał taką historię i swoim oczom też nie mogłem uwierzyć. Zdarzenie, którego byliśmy świadkami, przeczyło wszystkiemu, co do tej pory o świecie wiedziałem. Ale do sterów usiadł teraz strach. Przerażenie nie pozwalało zastanawiać się, kazało działać, kazało uciekać.

Gonił za nami. Chyba tylko ten blondyn. Miałem wrażenie, że moje ruchy stają się coraz wolniejsze, jakbym próbował biec pod wodą. Na szczęście dopadliśmy do bloków i skręciliśmy za jeden z nich. Dziwne uczucie minęło. Uno już dyszał, ale dotrzymywał kroku. Michał spoglądał za siebie. Nigdy nie widziałem go tak przestraszonego. On pewnie nigdy nie widział takim mnie, a znamy się od zawsze. Stefo miał najwięcej pary, biegł przodem i wyznaczał kierunek. Kluczyliśmy długo między budynkami, próbując zgubić pościg. Wreszcie wbiegliśmy do ceglanego śmietnika. Był trochę jak bunkier ze ścianami sięgającymi półtora metra, wyżej umieszczono metalową siatkę. Mogliśmy się tu chować i jednocześnie obserwować wszystko dokoła. Na razie próbowaliśmy złapać powietrze. Było ciemno.

Uno kaszlnął, splunął i zapytał:

– Co tu się dzieje, do cholery?

Głos miał bardziej piskliwy, niż zwykle.

– Czary mary – odpowiedział Michał.

– I ludzi mordują – dodałem.

– Cicho, idzie.

Stefo filował nad ścianą. Za chwilę schował głowę. Obrócił się i oparł o cegły. Myśmy przykucnęli. Czekaliśmy w absolutnym milczeniu. Jakiś czas nie działo się nic.

– Co za syf – usłyszeliśmy bardzo blisko nas, zaraz za ścianą śmietnika.

Głos należał do mężczyzny, który wcześniej z nami rozmawiał. Rzeczywiście śmierdziało tu, dopiero zwróciłem uwagę. Teraz było to dla mnie zupełnie nieistotne. Ręce mi się trzęsły, strach dziobał serce, wzrok przywykał do ciemności. Żółte światło lampy zbierało się, aby zajrzeć do śmietnika, ale nie potrafiło na to zdecydować. Może przez zapach? W tym półmroku dostrzegłem rękę Stefa podnoszącą nogę od krzesła. Sam rozejrzałem się za czymś. Nadgniłe jabłko? Bez sensu. Zresztą bałem się poruszyć.

– Panowie! – zawołał mężczyzna. – Wyłaźcie, musimy porozmawiać.

Przestałem oddychać. Ale głos był już chyba dalej.

– Dla waszego dobra!

Oddalał się, na pewno. Minęło coś między piętnastoma minutami, a wiecznością. Czekaliśmy ukryci w

smrodzie i ciemności.

Michałowi zapikał telefon, przerywając ciszę. Każdy z nas wciągnął powietrze. Mój przyjaciel pośpiesznie uciszył urządzenie. Stefo wyjrzał ponad ścianę. Rozejrzał się wokół.

– Czysto.

– Dzwoń po policję – Uno nakazał Michałowi.

– Nie – odpowiedział. – Gościu twierdził, że jest z CBA. Wyłazimy, uciekamy do domów i zapominamy o wszystkim.

– I kasujemy pamięć w telefonach – dodałem. – Nie znamy się przynajmniej na miesiąc.

Wyjęliśmy aparaty. Oświetlały na niebiesko nasze twarze wykrzywione grozą. Przywracaliśmy ustawienia fabryczne – od teraz nie znamy się i nic nie pamiętamy. Gdyby jeszcze tak z głową można było zrobić. Ale to było i się nie odstanie. Lewitujący ludzie, zęby na rękach i CBA.

Podaliśmy sobie dłonie i rozeszliśmy się, życząc wzajemnie powodzenia. Na pewno mieliśmy o czym rozmawiać, ale nie było żadnych sensownych wniosków do wyciągnięcia.

Przebiegałem od krzaka, do krzaka i od bloku, do bloku. W końcu jacyś przypadkowi ludzie mnie zobaczyli. Młodzi, zaprawieni po imprezie.

– Co się tam kitrasz?

Wylazłem na chodnik, ale nie odpowiedziałem. Dalej już szedłem normalnie. Zresztą nie daleko, bo ja miałem najbliżej. Pod swoim blokiem zobaczyłem kota. Czarny. Wcale się nie bał i tylko patrzył, gdzie idę. Wbiegłem na klatkę, pokonałem schody, otworzyłem drzwi od mieszkania, wszedłem i zamknąłem je dobrze. Odwróciłem się i oparłem o dzielące mnie od wszelkich potworności drewno.

– O boże – jęknąłem.

– Jesteś? Ja też dopiero od dziewczyn wróciłam – Sylwia zawołała z kuchni.

Kiedy wyszła do mnie z kawałkiem kiszonego ogórka, chciałem ją wyściskać aż do zapomnienia. Dotknąć na nowo normalności.

– Musimy poważnie porozmawiać, kolego – usłyszałem znajomy głos zza drzwi.

Zadrżałem. To znowu ten facet. Nie mam już dokąd uciekać. Przesunąłem się na bok, bo bałem się nawet wizera. Sylwia spojrzała na mnie pytająco. Powiedziałem jej bezgłośnie: "Nie", machając przy tym rękami.

– Nie ma go – moja kobieta oznajmiła głośno.

– Nie umiesz kłamać, co? – zaśmiał się głos zza drzwi.

Zrobiła speszoną minę.

– Widzę wszystko w twoich oczach.

A oczy jej rozwarły się szeroko. Nie patrzyła na mnie, lecz obok. Z judasza wylazł najpierw palec, potem dłoń, zwężając i pompując na powrót siebie. Wreszcie całe ramię przecisnęło się przez wąską dziurę, a trwało to nie więcej niż sekundę. Nie zdążyłem uciec, ręka złapała mnie za gardło. Sylwia krzyknęła.

– Otwórz po dobroci.

Nie posłuchałem, siłowałem się z dłonią. Żelazny uścisk.

Ramię schowało się szybko, nie puszczając mnie jednak i tym samym uderzając moją głową o drzwi. Bolało. Potem jego kończyna przecisnęła się na powrót przez wizjer.

– Otwórz.

Szarpałem za łokieć, wbijałem paznokcie w jego dłoń, chciałem ugryźć, ale nie mogłem sięgnąć zębami.

Ręka ponownie wsunęła się i wysunęła jak tłok. Głowa została rozbita, nogi mi zmiękły.

– Otwórz dziewczyno, bo go zabiję.

Uderzył mną jeszcze raz. Kiedy traciłem przytomność, Sylwia podchodziła do drzwi.

***

– Pracujemy nad tym.

Jakieś słowa przebijały się do mojej świadomości.

– Tak, mamy trop. Za chwilę będzie pozamiatane.

To był głos faceta w garniturze.

– Panie prezesie, ale... tak jest, ale takie wypadki są nieuniknione, no panie prezesie.

Bolała mnie cała głowa, razem z twarzą. Pewnie nie wyglądało to dobrze.

– Oczywiście. Aneks przejęliśmy, wróg unieszkodliwiony. Nic nie zostało ujawnione.

Spróbowałem otworzyć oczy. Tylko jedno udało mi się rozchylić. Siedziałem przy stole we własnym mieszkaniu. Na przeciw siedziała Sylwia. Była przyklejona do krzesła moją taśmą izolacyjną. Zresztą ja tak samo. W przeciwieństwie do mnie usta również miała zaklejone. Ponad dziewczyną stał mój prze-

śladowca. Rozmawiał przez telefon. Kiwał głową.

– Tak jest... Tak jest... Tak jest.

Rozłączył się, popatrzył na aparat i rzucił do niego:

– Spieprzaj, dziadu.

Kaszlnąłem bezwolnie. Na obrusie wylądowały krople krwi.

– Obudziła się śpiąca królewna? Bardzo dobrze. – Mężczyzna schował telefon i położył dłonie na ramionach Sylwii.

Popatrzyła na mnie oczami wielkimi ze strachu.

– Sprawa jest prosta – tłumaczył. – Powiesz mi, kto był z tobą. Nazwiska, adresy.

Sprawdziłem, jak mocno zostałem skrępowany. Mocno. Nie wyrwę się.

– Nie powiesz mi – tutaj przerwał i oparł brodę na czubku głowy mojej narzeczonej, potem wyciągnął na stół jej związane dłonie. – Myślę, że nie ma potrzeby uciekać się do jakiś makabrycznych sposobów. Wystarczy, że połamię jej palce.

Dziewczyna dygotała, wyła przez knebel z taśmy.

– Wszyscy jesteśmy przecież cywilizowani – dodał, uśmiechając się. Zaraz spoważniał i powtórzył – Nazwiska, adresy.

– I tak nas zabijecie – wyplułem. Język miałem zdrętwiały.

– Ależ skąd – tłumaczył dalej. – Jedynie trochę przeprogramujemy. O wszystkim grzecznie zapomnicie, zaczniecie myśleć pozytywnie, zdrowo się odżywiać i głosować tylko na partie z właściwymi markerami. Będziecie żyli długo i szczęśliwie. Podobnie jak twoi koledzy.

Sylwia w przypływie odwagi popatrzyła na mnie i pokręciła przecząco głową, jakby chciała oznajmić: "nic mu nie mów". Było dla niej bez znaczenia, że nie rozumiała, czemu to się dzieje. Kochana kobieta. Nie mógłbym patrzeć.

– Stefan Kornik, Plac Popiełuszki trzy przez piętnaście – wydukałem. – Łukasz Narębski, Łupaszki jedenaście przez jedenaście.

– Jeszcze jeden.

– Michał Zawada. Lipowa trzydzieści.

– Mieszkania?

– To domek.

Dalej już nic nie pamiętam. Nie istniałem. Mówicie, że jest grudzień. Nie pamiętam sześciu miesięcy.

Dopiero teraz, jak mnie obudziliście, zacząłem zbierać myśli.

[Ci faceci, czy padły ich nazwiska? Jakieś imiona, nazwy, ksywki?]

Niczego takiego sobie nie przypominam.

[Mhm. Marcinku, przyniesiesz?]

[Słuchaj, za chwilę pooglądasz sobie album. Może kogoś rozpoznasz?]

Kiedy mnie wypuścicie? Nikomu nic nie powiem, zresztą nic nie wiem. O was też.

[To się dowiesz. Jesteśmy funkcjonariuszami dawnego WSI, przynajmniej większość z nas. Teraz to już ruch oporu, a sprawy są poważne. Za to ty, przyjacielu, zabrnąłeś za głęboko, żeby wracać.]

Panowie, ja jestem nikim. Nie róbcie mi tego.

[Obywatelu, ojczyzna wzywa. W Polsce toczy się ukryta wojna między dobrem, a złem. O wolność, o władzę, o dostęp do morza wielkiej mocy. Potrzebujemy świeżej krwi, nawet takiej, jak twoja. Wolicie powrócić do śpiączki?]

Nic nie rozumiem. Zresztą skąd mam wiedzieć, która strona jest dobrem?

[Ha, ha. Dobro polega na zerwaniu z fałszywym podziałem na strony, na „dobro” i „zło”, na „lewo” i „prawo”, na przeniknięciu wzrokiem przedstawienia zainscenizowanego przez ukryte siły. Dobro to odrzucenie status quo, obudzenie wszystkich śpiących, nim będzie za późno, nim zostaniemy kolejny raz w niewolę odsprzedani. Niewolę jeszcze okrutniejszą i jeszcze bardziej nieludzką niż wszystkie poprzednie. Więc przestań nadużywać „zresztą” i posłuchaj uważnie. Czarne chmury zebrały się nad naszym krajem, burza może porwać nie tylko orła, ale wszystkie pisklęta. I ja się teraz pytam: to jak, pomożecie? A w zaistniałej sytuacji jedyna słuszna odpowiedź to...]

Pomożemy, towarzyszu.

[No!]

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelakiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

karp, dodano 26.07.2018 10:55

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.